

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/kultura/65745,Poeta-tragiczny-Jan-Lechon-18991956.html>



ARTYKUŁ

Poeta tragiczny. Jan Lechoń (1899-1956)

OKRES HISTORYCZNY

(1918-1922) Odrodzenie Niepodległej (1922-1939) II Rzeczpospolita (1939-1945) II wojna światowa (1945-1948) Pierwsze lata Polski Ludowej (1948-1956) Stalinizm w Polsce

Autor: MAREK KLECEL 20.04.2020

Piekielnie zdolny młodzieniec, natchniony skamandryta, wreszcie emigrant nieprzejednany wobec komunistów. Bogata twórczość Lechonia to klucz do poznania zarówno życia poety, jak i całego pokolenia Polaków budujących II RP, a później doświadczonych przez wojnę i wygnanie.

Jan Lechoń, a właściwie Leszek Serafinowicz, uchodził za „genialne dziecko” polskiej poezji. W wieku piętnastu lat miał już w dorobku dwa zbiory wierszy. Na progu niepodległości utrwalił swą pozycję wybitnego poety, publikując kolejne dwa tomy poezji: *Karmazynowy poemat* (1920) oraz *Srebrne i czarne* (1924).

Odrodzenie Polski w 1918 r. potraktował jako zobowiązanie do rozrachunków z przeszłością, ale i szansę, by wraz z wolnością Ojczyzny odzyskać suwerenność w wymiarze indywidualnym. Niepodległościowe wiersze Lechonia oddawały ów przełomowy moment dziejowy, jak też wyrażały potrzebę głębszej nad nim refleksji, nastroje euforii i niepewności, pytania i niepokoje o przyszłość Polski, z trudem obronionej przed bolszewicką nawałą w 1920 r. W swej twórczości Lechoń poczuwał się do odpowiedzialności za podtrzymywanie kulturowej i literackiej tradycji poprzednich pokoleń. Czuł się spadkobiercą poetów dziewiętnastowiecznych, których ostatnim wielkim przedstawicielem był Stanisław Wyspiański.

Poezja Lechonia – posługująca się ironią, a nawet dyskretną prowokacją – nie była jednak wprost, by tak rzec, patriotyczna, często pozostawała wieloznaczna, nieraz przewrotna. Na przykład w wierszu Herostrates twórca rzucił aforystycznie brzmiące hasło: *A wiosną – niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę, co mogłoby mieć wydźwięk antypatriotyczny, gdyby nie konkluzja:*

Bo w nocy spać nie mogę i we dnie się trudzę
Myślami, co mi w serce wrastają z wątpieniem,
I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość wyżeniem,
Czy wszystko w pył rozkruszę, czy... Polskę obudzę.

Przebudzenie Polski to przecież misja jak najbardziej patriotyczna. Po Herostratesie następowały wiersze *Sejm, Duch na seansie, Mochnicki, Pani Słowacka i Piłsudski*, kontynuujące w nowy sposób polską tradycję literacką. Część z nich powstała jeszcze w czasie I wojny światowej. Ostatni z wymienionych wierszy jest zagadkowy, wcale nie apologetyczny, bo tytułowy bohater zostaje ukazany nie w chwili triumfu, lecz na tle wojennego zgiełku: *A On mówić nie może! Mundur na nim szary.*

Na fali patriotycznego entuzjazmu, który wybuchł po ogłoszeniu niepodległości, Lechoń przeżył wzlot poetyckiego ducha, płodnego w ekstatyczne wiersze. Okazał się natchnionym poetą, porywającym mówcą oraz sprawnym organizatorem życia artystycznego i literackiego.

Odrodzenie Polski w 1918 r. potraktował jako zobowiązanie do rozrachunków z przeszłością, ale i szansę, by wraz z wolnością Ojczyzny odzyskać suwerenność w wymiarze indywidualnym. Niepodległościowe wiersze Lechonia oddawały ów przełomowy moment dziejowy, jak też wyrażały potrzebę głębszej nad nim refleksji...

Już jesienią 1918 r. założył wspólnie z Julianem Tuwimem i Antonim Słonimskim kabaret artystyczny Pod Pikadorem, w którym prezentowali oni swoje utwory. Wkrótce również z nimi dwoma, a także z Jarosławem Iwaszkiewiczem i Kazimierzem Wierzyńskim utworzył grupę poetycką Skamander. Później zaś był współzałożycielem pisma pod tym samym tytułem, a z Mieczysławem Grydzewskim założył „Wiadomości Literackie”. Był wtedy twórcą wszechstronnym, pisał utwory satyryczne i kabaretowe, teksty szopek politycznych, felietony, recenzje. Z czasem w jego tekstach pojawiły się tony krytyczne wobec rzeczywistości II RP.

Podróże śladami poetów

Po wielkich sukcesach, powodzeniu i sławie genialnego młodzieńca przyszła nagle niemoc twórcza, a nawet głęboka depresja zakończona próbą samobójczą. Był więc Lechoń postacią tragiczną, napiętnowaną osobistą klęską, która go będzie ścigać do końca życia. Szczęśliwy piewca nowego życia i wspólnej radości z odzyskania Ojczyzny szybko zamilkł i pogrążył się w mroku. Tłumaczył wprawdzie później, że wypowiedział się w pełni w dwóch wydanych tomach wierszy, ale przecież nie mógł się zgodzić na duchową niemoc, która, jak się okazało, trwała do lat trzydziestych, kiedy to podjął służbę dyplomatyczną w Paryżu. Do Polski nie dane mu już było powrócić.

Poezja Lechonia już w 1924 r. w tomie *Srebrne i czarne* nabrała tonów osobistych, wyraźnie przy tym nawiązując do tradycji romantycznej. Do motywów patriotycznych i narodowych poeta powrócił w tomach *Lutnia po Bekwarku* (1942) i *Aria z kurantem* (1945). Znajdziemy tam, prócz wierszy przedwojennych, utwory pisane z perspektywy emigracyjnej, ze świadomością nieodwracalności losu, utraty młodości i Ojczyzny:

Dawno zmarli mych marzeń wierni towarzysze:

Poeci romantyczni, zapatrzeni w ciemnie,

Egerie w czarnych lokach – teraz nocą, słyszę,

Bez zbytecznych pożegnań odchodzą ode mnie.

Już wczoraj mnie opuścił Wajdelota stary,

Ostatnim dylizanssem odjechał Fantazy,

Na dziedzińcu ułani zwijają sztandary,

Książę Józef już wydał odmarszu rozkazy,
Księżycowa poezji niech was noc pochłania!
Za wszystko wam dziękuję, lecz na nic tu płacze,
Choć z nową mą Marylą nie będzie spotkania,
Bo teraz kocham przyszłość, której nie zobaczę.

W roku 1927 Lechoń wspólnie z poetą Arturem Oppmanem (Or-Otem) przywiózł ekshumowane na cmentarzu Montmartre w Paryżu szczątki Juliusza Słowackiego. Trumna wieszczki narodowego do kraju wróciła drogą morską do Gdyni, stamtąd Wisłą do Warszawy i koleją do Krakowa. W niezwyklej uroczystości na Wawelu wziął udział marsz. Józef Piłsudski. Przybycie trumny do Warszawy utrwalił Iwaszkiewicz w *Alei przyjaciół*:

„Nigdy nie zapomnę tego momentu, kiedy statek wiozący trumnę Słowackiego podpłynął do wybrzeża przy moście Poniatowskiego. Na środku pokładu, na niewysokim wzniesieniu, jak gdyby wprost na dekle okrętu, stała mała trumna przykryta sztandarem. A przy niej na warcie mały Or-Ocik w swym pułkownikowskim mundurze i blady jak trup, szalenie wysmukły, łamiący się jak pręt w tej wysmukłości Lechoń, we fraku i białym krawacie. W takich podniosłych momentach wzruszenie malujące się na jego twarzy nadawało rysom jakiejś wewnętrznej szlachetności, zapominało się o jego brzydocie – a przede wszystkim widziało się, jak intensywnie ten człowiek przeżywał wszystko, co miało coś wspólnego z poezją. Pogrzeb Słowackiego nadszarpnął jego zdrowie”.

Iwaszkiewicz zapisał także bardziej anegdotyczną stronę tego wydarzenia. Na uroczystym przyjęciu w Krakowie:

„zbliżył się do nas Piłsudski i powiedział do Lechonia: «Zasłużyłeś na dobrą kolację!». Było to podziękowanie za uciążliwą podróż do Paryża i z powrotem. Kanonierką podobno tak rzucało, że Or-Ot wysiadł w Antwerpii i dojechał do Gdyni lądem”.



Jan Lechoń (fot. NAC)

Wojna i emigracja

„Horeszko też był u kresu nerwów. Przyskoczył do Kątskiego i wymachując mu rękami pod nosem, krzyczał: – Jeszcze nic się nie stało? Francja rozpieprzona w miesiąc jak Andora lub San Marino, i to jest nic? To jest koniec. Rozumiesz? Koniec tego, czym nam ciągle świeciłeś w oczy. Koniec kultury! Nie odwracaj się, bo myślisz to samo, co ja. Nasze polskie chamy mówiły, że Zachód jest zgniły. I jest. To jest właśnie tragedia, że te chamy miały rację”.

To jedna z głównych scen rozpoczętej na emigracji, nieukończonych powieści Lechonia *Bal u senatora*. Pokazuje ona najważniejszy dylemat ludzi wypędzonych z Polski przez wojnę i zmuszonych do decydowania, czy uciekać za ocean, czy pozostać w niespokojnej Europie. Powieść ta byłaby niewątpliwie ważnym, interesującym utworem opowiadającym o pokoleniu rozpoczynającym odbudowę Polski i schodzącym z historycznej sceny po klęsce 1939 r., o ludziach doświadczonych przez wojnę, eksterminację i emigrację.

Jego oceny i komentarze na temat sytuacji w Polsce terroryzowanej przez komunistów były zdecydowane i emocjonalne. Poszukiwał przy tym nieustannie nadziei i znajdował ją w Ameryce, której był entuzjastą. Uważał, że tylko Stany Zjednoczone i III wojna światowa mogą uratować Polskę...

W pierwszej części powieści jedną z głównych postaci jest Kątski, artysta i esteta, długo oderwany od życia.

Kapitulacja Francji, która dla wielu była symbolem wielkości Zachodu, stała się, jak dla Kątskiego i Horeszki, który podobnie jak Lechoń spędził wiele lat w Paryżu, klęską osobistą. Horeszko ma w końcu tyle tylko do powiedzenia, usprawiedliwiając swoje poczucie winy i kompleks nieuczestniczenia w walkach, który będzie dręczył wielu emigrantów:

„Nie jestem durniem i wiem, jak żyłem. Tylko teraz już nic nie naprawię. Zwialiśmy, a tamci się biją. – Twarz zaczęła mu się krzywić jakimś komicznym grymasem, złapał Kątskiego za rękę i, trzęsąc nim, wołał: – Nie wrócimy! Rozumiesz? Nie wrócimy do Warszawy!”.

W wojennej zawierusze wyostrzyły się postawy ludzi, ich zachowania i wybory. Kątski dręczył się pytaniem, czy ma prawo chronić swój talent, czy raczej powinien wstąpić do wojska i walczyć – jak Kamil, inna postać z tej części utworu.

We fragmencie *Opowiadanie Czaplica* mamy opisaną historię człowieka związanego z tradycją niepodległościową i lewicową, który za swą działalność pod zaborem rosyjskim zapłacił długoletnią zsyłką na Syberię. Po odzyskaniu niepodległości bohater Lechonia postanowił wycofać się z życia publicznego. „Pojął wtedy – mówi autor – od razu, że jeśli ma zostać wierny sobie, nie może dać się związać z tą przeszłością, ale że powinien nadrobić utraconą młodość: żyć, poznawać to życie, przed którym odgrodziły go mury irkuckiego więzienia”.



Skamandryci na dworcu w Warszawie przed odjazdem do Pragi na wieczór literacki; od lewej: Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński; w drugim rzędzie: Antoni Słonimski (fot. NAC)

Chciał pozostać człowiekiem prywatnym, obserwując wszakże pilnie to wszystko, co działo się w Polsce i w całej Europie. Ten właśnie dystans i to niezaangażowanie pozwoliły mu trafnie przewidzieć rozwój sytuacji. Lechoń tak opisuje desperację swego bohatera:

„Otóż pewnego dnia w roku 1936, ni stąd, ni zowąd, nie powołując się na żadne astrologie, ani na żadne objawienia, Czaplic zaczął mówić wszystkim naokoło, że w Europie ziemia pali się pod nogami, że wojna jest nieunikniona, że będą się działy straszne rzeczy, i to nie tylko w Polsce, ale i na Zachodzie, że słowem, należy z Europy uchorzyć, gdyż nie będzie tam można ani żyć, ani dokonać niczego sensownego. Nie ograniczając się do wypowiedzania tych prorocत्व, zaczął pośpiesznie likwidować swoje sprawy, namawiając swoim zwyczajem wszystkich przyjaciół na wspólny wyjazd, snując wizję jakiejś nowej, prawdziwej Europy pod zwrotnikami – wszystko to razem na tle ówczesnej beztroski jego otoczenia robiło wrażenie zwyczajnego wariactwa”.

Czaplic czuł się zmuszony wybrać życie z dala od Ojczyzny, siłą rzeczy bez zobowiązań i uzależnień narodowych, i bez odpowiedzialności za to, na co nie miał wpływu. Chciał być wolny i odpowiadać za swój los. Ta życiowa dwuznaczność, ten stan zawieszenia, który jest ceną za ratunek na emigracji, stale dawały o sobie znać, domagały się jakiegoś rozstrzygnięcia. Po latach pobytu w Brazylii okazało się jednak, że trudno zerwać wszelkie związki z przeszłością i z ludźmi, z którymi działał dla wspólnej sprawy, w poczuciu wspólnoty, której nie można łatwo odrzucić i pogrzebać. Ta więź musiała zrodzić się w nim na nowo właśnie pod wpływem klęski i tragizmu wojny, w obliczu utraty tego wszystkiego, co i w jego życiu było ważne – i w końcu własne. Jego los zatoczył pełne koło, cofając się do tego, co Czaplic starał się odrzucić, pominąć i zapomnieć. Po latach powrócił on do doświadczeń utraconej na zawsze, jak sądził, młodości:

„I wydało mu się, że tych dziesięć lat, które zdawać się mogły przez jakiś bezsens tragiczny wyrwane z jego życia, które służyły już tylko za temat do patriotycznych błazeńskich oracji, nabrały znaczenia, stały się potrzebne, miały być świadectwem za tymi wszystkimi, którzy na całej przestrzeni Polski podjęli teraz jego niepotrzebne szaleństwo, jego samotne przeznaczenie”.

To puenta niemal w stylu Marcela Prousta, choć o polskiej treści: nie tyle czas jest tu odzyskany, ile sens – zdobyty na nowo po klęskach i ofiarach. Powieść *Lechonia* była więc w zamyśle wielkim obrazem różnych polskich losów, postaw i wyborów ludzi dokonujących się w trudnych, często decydujących sytuacjach naszych wspólnych, niedawnych dziejów.



Roman Kramsztyk; Portret poety

Jana Lechonia, po 1920 r. (fot.

Listy z emigracji

Bogata korespondencja Lechonia, obok jego *Dziennika* z lat 1949–1956, jest cennym źródłem poznania zarówno życia oraz twórczości poety, jak i losów całej polskiej emigracji. Klęska wojenna i sytuacja Polski po II wojnie światowej dotknęły poetę osobiście. Chociaż był przede wszystkim pisarzem, to jednak angażował się także w działalność niepodległościową w Ameryce, zakładał „Tygodnik Polski” w Nowym Jorku, działał w Polskim Komitecie Naukowym i w Instytucie Józefa Piłsudskiego, udzielał się w rozgłosni Głos Ameryki i w Radiu Wolna Europa. Jego oceny i komentarze na temat sytuacji w Polsce – terroryzowanej przez komunistów – były zdecydowane i emocjonalne. Poszukiwał przy tym nieustannie nadziei i znajdował ją w Ameryce, której był entuzjastą. Uważał, że tylko Stany Zjednoczone i III wojna światowa mogą uratować Polskę, emigracja więc powinna się skupić na współpracy z władzami amerykańskimi. W listach do Mieczysława Grydzewskiego, wtedy redaktora londyńskich „Wiadomości”, przekonywał wielokrotnie o tej konieczności, to właśnie doradzał politykom emigracyjnym w Wielkiej Brytanii. W 1948 r. pisał w swym żartobliwym stylu:

„Powiedz Panu Prezydentowi i Julkowi Sakowskiemu, że jest wielka szansa, że za parę tygodni będzie wielka kwestia uznania rządów na wygnaniu. Zamiast klócić się, czy ma być Rowmund Piłsudski czy Józef Dmowski, czy [Stanisław] Sopicki i [Jerzy] Kuncewicz, należy rwać co sił do Waszyngtonu. [...] Ale jeżeli tutaj nie będzie nikogo, to ten najperfidniejszy ze zdrajców zostanie głosem Polski wobec Ameryki. Wyrzućcie [go] za drzwi – tylko inteligentnie. I przeciwstawcie mu coś naprawdę. Ja oczywiście uważam, że sprawa Polski po raz pierwszy naprawdę nie istnieje dziś bez sprawy całego świata i wszystkie granice wschodnie i zachodnie toną wobec wizji «Pax Sovietica» czy «Pax Americana». Ale i z tego tylko jeden wniosek. Nie może być żadnego znaczenia Polski w przyszłości bez mądrych ludzi – więcej: ludzi z wizją. Amen”.

Józef Dmowski to postać fikcyjna, wynik gry językowej poety, połączenie imienia Piłsudskiego z nazwiskiem Romana Dmowskiego, zdrajca zaś to emigracyjny polityk Stanisław Mikołajczyk, liczący na współpracę z Warszawą.

Grydzewski był bardziej realistyczny, a nawet sceptyczny, studził zapąły, a zarazem rozwiewał nadzieje poety:

„Nie rozumiem ustępu z Twego listu, że ktoś powinien być do Was przyjechać. Kto? Przecież nie ma tu ani jednego człowieka na serio, ani jednego, z którym by można poważnie porozmawiać, ani jednego, który by

nie kłamał”.

Podobnie nie miał złudzeń co do nowej wojny, która zmieniałaby polską sytuację. Po paru latach, w 1953 r., pisał na ten temat:

„Drogi Leszku, ucieszysz się zapewne, gdy się dowiesz, że Twoje przepowiednie polityczne uważam za zupełną brednię. [Dwight] Eisenhower, jak [Winston] Churchill, mówi co chwila co innego, przypomnij sobie, co mówił na temat Jałty. W Rosji panuje spokój, nie będzie żadnego przewrotu, będzie szereg kompromisów, na co się cieszę, bo w Kraju ludziom będzie mniej ciężko”.

Kiedy rozwiały się nadzieje polityczne Lechonia, zaczął usilnie namawiać Grydzewskiego, by przynajmniej przeniósł się do Ameryki, zachwalając ją jak najlepszy towar:

„Jestem pewien, że znalazłbyś tu to, czego chcesz – to znaczy posadę przy jakimś uniwersytecie lub bibliotece, znakomite jedzenie w dowolnych ilościach i kilkadziesiąt milionów długonogich kobiet”.

Na Europę i jej powojenną propozycję kulturową i duchowe perspektywy, zwłaszcza francuskie, patrzył Lechoń bardzo krytycznie lub przynajmniej ironicznie, często wyrażając się z sarkazmem:

„Wszystko, co Francuzi piszą, jest przerażające – [Fiodor] Dostojewski jest przy tym naprawdę słodki. I poważny”.

Grydzewski zgadzał się z nim całkowicie:

„Podzielał Twoje zdanie o [Jeanie-Paulu] Sartrze i [Albercie] Camusie, czytałem i widziałem kilka ich rzeczy. Nie wiem dobrze, co to jest egzystencjalizm, ale chyba to samo, co [Wilam] Horzyca wymyślił dwadzieścia kilka lat temu”.

Piektó polskiej literatury

Lechonia i Grydzewskiego łączył nieprzejednany stosunek do komunistów rządzących krajem. Odmawiali wszelkich kompromisów i nawiązywania jakichkolwiek kontaktów z instytucjami reżimowymi, co dla wielu pisarzy i publicystów emigracyjnych było stałym dylematem. W korespondencji tych dwóch wybitnych humanistów, która staje się często osobliwym, błyskotliwym i pełnym humoru dialogiem, odbijają się echa wielu najważniejszych na emigracji kampanii prasowych, sporów i nieraz gwałtownych polemik. Po powrocie kilku pisarzy emigracyjnych do Polski w latach czterdziestych i pięćdziesiątych rozgorzał spór o to, jak się wobec nich zachowywać.

Lechoń, który pilnie obserwował życie kulturalne w Ojczyźnie, pisał do Grydzewskiego w 1950 r.:

„Czytam teraz po kolei «Odrodzenie». Zgroza! Pomimo wszystko [Konstantego Ildefonsa] Gałczyńskiego trzeba będzie skazać na dożywotnie więzienie. [Juliana] Tuwima sam wybronię. Ale bez wieszania się nie obejdzie”.

O Aleksandrze Jancie-Połczyńskim, tym samym, który wyłudził później listy Lechonia z archiwum „Wiadomości”, pisał po jego powrocie z wizyty w kraju w 1948 r. i entuzjastycznym artykule o Polsce, opublikowanym w paryskiej „Kulturze”:

„Czy [Jerzy] Giedroyc zwariował, umieszczając Jantę? Przecież to jest najwredniejszy zdrajca – bo na [...] dwóch stołkach chce siedzieć. Jak w ogóle może być jakaś przyzwoitość moralna zachowana, jeżeli 2. Korpus [Polski] puszcza się na takie perwersje. [...] Ach! Naprawdę, że świętą rację miała służąca [Adolfa] Nowaczyńskiego, gdy mówiła: «Polacy dobry naród, tylko *niecokolwiek* głupi»”.

Lechoń i Grydzewski krytycznie odnosili się też do Melchiora Wańkowicza, który propagował koncepcję zachowania przez władze emigracyjne neutralności wobec bloków wschodniego i zachodniego, ogłoszoną w artykule *Klub trzeciego miejscaw* „Kulturze” w 1949 r. Szczególnie jednak wiele miejsca w listach obu korespondentów zajął emigracyjny spór o Czesława Miłosza, który w 1951 r. podjął decyzję porzucenia służby w dyplomacji komunistycznej Polski i pozostania na Zachodzie. Na łamach „Wiadomości” toczyła się gwałtowna dyskusja o nowej sytuacji, jaką stworzył dla emigracji Miłosz.

„Sprawę Miłosza w «Kulturze» [...] uważam za skandal pierwszej klasy – pisał Lechoń – i nie rozumiem, jak ludzie mogą po tym drukować w «Kulturze»”,

po apelu zaś innych pisarzy, biorących Miłosza w obronę, dodawał:

„Na miłość boską, zróbcie jakieś lanie Miłoszowi. [Józef] Czapski i jego kaplica robią świństwo niepojęte, bo przecież są jakieś polskie sprawy, polskie krzywdy, o które trzeba się upominać”.

Grydzewski odpowiadał:

„Nie wiem, dlaczego namawiasz mnie do robienia lania Miłoszowi, przecież nic innego nie robię: notatka w *Silvie*, artykuł [Sergiusza] Piaseckiego, list [Michała K.] Pawlikowskiego, artykuł Pandory [wspólny pseudonim Stefanii Zahorskiej i Adama Pragiera], drugi artykuł Piaseckiego”.

Na temat tekstu Piaseckiego *Były popucznik Miłosz* Lechoń odpisywał:

„[...] artykuł Piaseckiego o Miłoszu uważam za swego rodzaju arcydzieło publicystyczne. Jest w nim ton nieodrobionej pasji i pogardy, którego brakowało innym na ten temat sceptycznym mędrkowaniom. Jeśli Miłosz ma w sobie odrobinę uczciwości, powinien się powiesić, a w każdym razie pójść do pracy fizycznej, aby dowieść, że jest «z ludem»”.

Przy okazji sprawy Miłosza jeszcze bardziej ujawniły się różnice stanowisk wśród Polaków na emigracji i zarysowały się pewne obozy polityki emigracyjnej wobec kraju i rozmaitych ewolucji władz PRL. W 1954 r. pisał Lechoń do Grydzewskiego:

„A inna rzecz, że warto przeczytać tego Miłosza. Uważam, że przybył nowy Karamazow – odmiana Iwana,

ale gorsza”.

Wyjaśniał to bliżej w *Dzienniku*:

„Miłosz to nieznan nam dotąd brat Karamazowa, Czesław Karamazow, który nie odważy się na nic takiego jak Dymitr i nie ma nawet tej gigantycznej hipokryzji co Iwan. Małość, plugawa mała zawiść i pustka serca – to jego demonizm”.

Stosunek do rządów komunistycznych w Polsce podzielił emigrację, doprowadzał nieraz do osobistych konfliktów i rozstań. Lechoń zerwał długoletnią, bliską znajomość z Tuwimem po jego akceptacji komunizmu jeszcze w czasie wojny i później po jego powrocie do kraju. W listach, podobnie jak w *Dzienniku*, zachowało się wiele wzmianek na ten temat. Pisząc do Grydzewskiego w 1952 r., uszczypliwie komentował bałwochwalstwa Tuwima wobec władzy, w szczególności „List otwarty do B[olesława] Bieruta z okazji 60. rocznicy urodzin”, któremu poświęcił więcej uwagi w *Dzienniku*:

„Tuwim w liście do «kochanego towarzysza prezydenta Bieruta» obiecuje mu na jego sześćdziesięciolecie oddać do druku maszynopis przekładu [Nikołaja] Niekrasowa. Trudno o bardziej skandaliczny i demoniczny dowód rosyjskiej niewoli, na którą przecież Tuwim nigdy nie cierpiał. Ta niewola przybrała tutaj ulubione przez Tuwima gogolowskie formy, i doprawdy że ten prezent dla Bieruta jest to też swego rodzaju hołd dla Muzy Gogoła w jego stulecie”.

W liście do Grydzewskiego nie mógł powstrzymać się od okrzyku:

„Widzę, widzę..., widzę..., czerwono, czerwono. Piekło! Piekło literatury polskiej”.

Nigdy jednak Lechoń nie deprecjonował poezji Tuwima. Pisał w *Dzienniku* w 1950 r.:

„Wszystko między mną a Tuwimem zerwane na zawsze oprócz poezji. W niej będzie jego ułaskawienie”.

A po śmierci Tuwima w 1953 r. zwierzał się Grydzewskiemu:

„Rozumiesz, jak moje uczucia są zmałowane. Byłem pierwszy, który z nim zerwał, i zarazem nigdy, zwłaszcza w naszych audycjach do Kraju, nie przestawałem mówić z tym samym najszczerzym entuzjazmem o jego poezji”.

W *Dzienniku* dodawał:

„Już nie nam go sądzić i szkoda każdego słowa naszego ludzkiego sądu. «Niech Ci lekką będzie, Julku, ta ziemia polska, którąś tak źle, tak głupio, ale naprawdę kochał».”



**Mieczysław Grydzewski, redaktor
czasopism „Skamander” i
„Wiadomości”**

Epitafium dla poety

Przeważnie, gdy wspomina się Lechonia, pamięta się o jego tragicznym końcu, o tym cieniu śmierci, który pada na jego życie już od młodości, o tym widzeniu życia jakby przez śmierć, o niewątpliwej obsesji śmierci, ale śmierci nieodłącznej od życia i paradoksalnie, tajemniczo z nim powiązanej, w trudny sposób to życie potwierdzającej. Już w wierszu *Śmierć* z tomu *Srebrne i czarne*, wydanego przez Lechonia w wieku 25 lat,

czytamy:

O! nie dożyć tych zmarszczek, które bruzdzą czoło,

I tej zgody na wszystko, co nam w serce wrasta:

Odejść raczej stąd całkiem, niż wyszedłszy z miasta,

Martwym jeszcze się cieniem włóczyć po nim wkoło.

Od tego widma końca prześladowającego poetę przechodzi on często w swych utworach do swoistej euforii, niemal zachłyśnięcia się radością życia, pełnią trwania, obecnością i realnością. Jest przecież poetą wykraczającym poza subiektywne przeżycia, najgłębiej związanym z losem i doświadczeniem wspólnym, z polską tradycją literacką i zarazem z piętnem tragicznych doświadczeń Polaków. Jednocześnie w jego twórczości mocno pobrzmiewają emigracyjne wygnanie i obawa przed zniszczeniem w katastrofie totalitaryzmów.

W wielu wspomnieniach o Lechoniu powtarza się ta komplikacja jego losu osobistego, twórczości i historii. Irena Lorentowicz, malarka i scenograf, która znała Lechonia od czasów paryskich, gdy robiła projekty do baletu-pantomimy *Harnasie* Karola Szymanowskiego, wystawianego wtedy w Paryżu, naszkicowała w 1972 r. taki jego portret:

„Zamieszkiwało go właściwie kilka różnych postaci. Był dowcipny i cyniczny, był gadułą i samotnikiem pełnym rozpacz. Był najbardziej towarzyskim człowiekiem, jakiego znałam, i najbardziej nieszczęśliwym. «Trzeba bardzo siebie lubić, żeby znosić samotność» – mówił, siedząc pod jabłonią w górach amerykańskich, w przyjemnej miejscowości, do której wszyscyśmy jeździli”.

Bardzo podobnie, choć niejednoznacznie, wspominał Lechonia tuż po jego śmierci Tadeusz Nowakowski, publicysta i dziennikarz emigracyjny z Radia Wolna Europa:

„Od dawna znałem dwóch Lechoniów, zanim poznałem go osobiście. Obu miłowałem jednak, choć jednemu z nich ufałem bardziej. Dzisiaj widzę, że jednak nie temu uderzającemu w czynów stał, nie temu z patetycznej sceny, nie temu spełniającemu przykaz [Stefana] Żeromskiego ze *Snu o szpadzie*, nie temu

przy werblu, mikrofonie czy Maryjnej sygnaturce, ale skrajnemu sceptykowi, czarnemu pesymiście, chłodnemu, akademickiemu piewcy śmierci i bezowocnej miłości, nieszczęśliwemu, który od dawna żyje i cierpi we własnym, niewidocznym dla innych piekle, wstydliwie zasłaniając śmiertelną ranę serca przed światem. Lechoń w kręgu Konrada zaledwie grał niezłą rolę w teatrze własnej poezji. Ten drugi, bez kurantów, bez larum, jakby się sam przed sobą ukrywający, okazał się prawdziwszy, także jako artysta”.

To rozdarcie, powiększone jeszcze przez emigracyjne wyobcowanie, mogło poniekąd zostać zaleczone przez poetycką twórczość, pamięć, ponowne zakorzenienie w tradycji historycznej i kulturowej, także działalność społeczną na emigracji, tworzenie środowiska polskiego w Ameryce.

Wspominał, że mógłby spocząć gdzieś
w Paryżu lub okolicy, jakby zamiast
Słowackiego, który spoczywał już w Polsce.
Ale też wyobrażał sobie to, co wtedy
na emigracyjnym wygnaniu było prawie
niewyobrażalne – powrót do Ojczyzny.

Szczególnie poezja dla Lechonia była sposobem przezwyciężenia – choćby warunkowo, jak się okazało – osobistych kryzysów i załamania. Tradycja, do której się odwoływał, nabierała w jego utworach bardzo osobistego wyrazu. Na emigracji wytworzył się specyficzny patriotyzm, któremu poezja Lechonia nadawała łatwiejszy do przyjęcia kształt, nową, bardziej powściągliwą formę, pozbawioną zewnętrznego patosu, za to osobiście przeżyta, niepozbawiona ironii czy dystansu, a nawet tragizmu, który zresztą przenikał całe życie poety.

Z dalszej, krajowej perspektywy powiązał przekonująco te sprzeczne wątki biografii i twórczości Lechonia Paweł Hertz, opisując po latach znaczenie postaci, roli i twórczości poety, którego poznał przelotnie jeszcze przed wojną:

„Miał Lechoń niezwykły dar, który pozwalał mu widzieć i odczuwać rzeczy polskie w sposób tak przenikliwy i wizjonerski, w jaki nie potrafił już ich widzieć i odczuwać chyba nikt z jego współczesnych. [...] W poezji dwudziestolecia, które upłynęło między wyjątkowo szczęśliwym dla nas zakończeniem pierwszej i początkiem odmieniającej nasze losy drugiej wojny światowej, Lechoń najwcześniej chyba dostrzegł

gromadzące się nad nami chmury. Wypowiadając w *Karmazynowym poemacie* wszystko, co nowego i radosnego miała wtedy w sobie dusza polska, poruszył jednak tkwiące w niej gdzieś na dnie, zepchnięte tam na ów czas radości, męty i niepokoje. [...] Dopiero wojna wyzwala uczucia i myśli w owym świecie niewypowiadane, niestosowne w kawiarniach, salonach, na wizytach czy premierach. Wojna, niosąc rzeczy prawdziwe: krew, pot, łzy i śmierć, każe wrócić do słów prawdziwych. Poezja Lechonia urasta do wielkości sprawy, o którą Polacy toczą swoją wojnę. Staje się zwyczajna, powszednia i prosta, osiągając piękność równą urodzie dawnych wierszy. Gdy niegdyś była epilogiem, przychodziła na koniec dziejów, spinała je złotą klamrą, niby karmazynową zasłonę, teraz stawała się prologiem, otwierała nieznany ciąg historii”.

Exegi monumentum...

W pośmiertnym szkicu o Lechoniu Janta-Pończyński, wspomniany już emigracyjny publicysta, pisał:

„Testamentu nie znaleziono. Zwierzał się, bywało, że chce leżeć w Montmorency, gdyby nie mógł, tak jak pragnął, w Polsce. Wola tego powrotu i wiara, że tak się stanie, zamyka wizję i wróżbę pożegnalną, wysnutą pod znakiem Eryonii. Kończącym ją akordem zwiastował sobie przecież to zmartwychpowstanie:

Że jeśli teraz pochód z mego domu ruszy

I złożę pod cyprysem ciężką, czarną skrzynię,

Będzie ona tam leżeć przez dwa dni jedynie.

Ale skrzynię mu dali orzechową, nie czarną”.

Lechoń wspominał, że mógłby spocząć gdzieś w Paryżu lub okolicy, jakby zamiast Słowackiego, który spoczywał już w Polsce. Ale też wyobrażał sobie to, co wtedy na emigracyjnym wygnaniu było prawie niewyobrażalne – powrót do Ojczyzny. W mowie żałobnej na cmentarzu Calvary w Nowym Jorku najbliższy przyjaciel Lechonia, poeta Kazimierz Wierzyński, nie tylko przejmująco żegnał się z nim, lecz i przepowiadał mimowolnie przyszłość:

„W jednym wierszu Lechoń napisał taką strofkę:

«To, w co tak trudno nam uwierzyć,

Kiedys się przecież stanie jawą,

Więc pomyślałem: chciałbym leżeć

Tam, gdzie mój ojciec – pod Warszawą».

I oto śmierć jego stała się jawą. Składamy Lechonia do grobu. Ale nie będzie leżał tam, gdzie jego ojciec i matka, która go tak bardzo kochała. Będzie leżał w obcej ziemi i czekał na wolność ziemi własnej. I doczeka się tej wolności, bo przecież dawno już nam mówił, że Kasandra się myli”.

Wierzyński się nie mylił. Przepowiedział też mimowolnie własną przyszłość, bo – jeszcze przed Lechoniem – spoczął na Powązkach. Lechoń wrócił symbolicznie do Ojczyzny, pod Warszawę, szybciej nawet niż Słowacki, czekał krócej, bo trzydzieści pięć lat.

Na pamiątkowych zdjęciach zachowały się pogrzeb Lechonia na Calvary z licznymi żałobnikami i płyta nagrobna z mylną datą śmierci, na której dano mu miesiąc więcej życia. Może gdyby żył ten miesiąc dłużej w 1956 r. – przeżyłby?

Przeleciał nad Atlantykiem, jak *vates biformis* z wiersza Horacego, dwukształtny, w nowej postaci poeta, przez płynne przestrzenie, *per liquidum aethera*, na potężnych i niezwykłych skrzydłach, *non usitata nec tenui penna*, z przesłaniem *neque in terris morabor* – „i nie pozostanę na ziemi”.

Na pamiątkowych zdjęciach zachowały się pogrzeb Lechonia na Calvary z licznymi żałobnikami i płyta nagrobna z mylną datą śmierci, na której dano mu miesiąc więcej życia. Może gdyby żył ten miesiąc dłużej w 1956 r. – przeżyłby? Na zdjęciu z 1991 r. niewielka urna z prochami poety zostaje złożona w rodzinnym grobowcu w Laskach pod Warszawą. Na nim również najpierw pomyłono datę śmierci, cofając ją z kolei o miesiąc. Może to ostatni żart poety i wyzwanie wobec przyjaciela redaktora, którego już również zabrakło.

Zabrakło też najwyraźniej korekty, ręki tak przezornego, że aż pedantycznego redaktora, jakim był Grydzewski.

Testamentem Lechonia stała się jego poezja. Przeżyła jego śmierć, samobójczy upadek na bruk nowojorski, jakby zatrzymała się, zawisała ponad czy poza czasem, gdzie nie dosięgają jej ziemskie grawitacja i prawa pośpiesznego zniszczenia. A w niej również, tylko inaczej, nie wprost, symbolicznie, jest obecny sam poeta.

Wykorzystałem fragmenty mojego artykułu Powroty Lechonia, opublikowanego w „Twórczości” 2007, nr 10.

Tekst pochodzi z nr 1-2/2019 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ